

Charyzmat przedkładania Chrystusa ponad wszystko

Spotkać Chrystusa w Filadelfii

Dom zależny od Casamari w New Jersey położony jest bardzo blisko Filadelfii. Od jakiegoś czasu nazwa tego miasta budziła we mnie pragnienie obejrzenia wreszcie „Głowy Chrystusa” Rembrandta, która znajduje się właśnie w filadelfijskim *Museum of Art*. Mnisi i ich przyjaciele chętnie zorganizowali mi zwiedzanie. Im bardziej przybliżałem się do muzeum, tym bardziej rosło we mnie pragnienie zobaczenia tego portretu Chrystusa, który jest częścią serii o tej samej tematyce i z tym samym modelem, młodym żydowskim mężczyzną, którego Rembrandt zapewne spotkał w dzielnicy żydowskiej w Amsterdamie. Portret z Filadelfii jest tym, który najbardziej do mnie przemawiał i nie wiem dobrze, dlaczego. Od razu skierowaliśmy się w stronę sal poświęconych malarzom epoki Rembrandta, ale nie udawało nam się znaleźć „mojego” obrazu. A odpowiedzi strażników na nasze poszukiwania były raczej zniechęcające: „Jest eksponowany gdzie indziej jest restaurowany jest w magazynie...”. Zaczynałem już godzić się z myślą, że nie zobaczę tego obrazu i pocieszać się, podziwiając inne liczne arcydzieła, stanowiące bogactwo muzeum. Ale moje serce było trochę jak serce Marii Magdaleny w poranek wielkanocny i już miałem prosić: „Jeśli jest w piwnicy, powiedzcie mi, gdzie to jest i sam pójdę go poszukać!” Ponieważ bardzo kocham ten obraz, wyobrażałem sobie, że ma być eksponowany w szczególny sposób, pośrodku sali, najlepiej sam, chroniony szybą pancerną i że trzeba będzie nieomal stać w kolejce, żeby go zobaczyć, ponieważ na pewno wiele osób z całego świata miało przybywać by go podziwiać. Trochę tak, jak Giocondę Leonarda da Vinci w Luwrze albo Pietę Michała Anioła. Potem zwiedzając salę, w której nikogo nie było, bez entuzjazmu przechodząc od jakiejś martwej natury do jakiejś sceny myśliwskiej, kiedy przeszedłem przed obrazem, którego tak szukałem, nie od razu go zobaczyłem i to mój towarzysz mnie poinformował: „Ależ to Chrystus Rembrandta!”



Wisał w rogu, jak jakikolwiek inny zwykły obraz. Dla mnie był to jakby wybuch radości, jakbym odnalazł utraconego przed laty przyjaciela, którego uważałem za zmarłego. Rzadko kiedy obraz lub ikona sprawiły, że spotkałem Chrystusa – jak to dzieło Rembrandta. Podziw stał się zaraz modlitwą, kontemplacją, dialogiem z Jezusem. A ja zastanawiałem się, dlaczego ten portret mógł tak mocno do mnie przemawiać o tajemnicy Chrystusa.

Wpatrując się długo w milczeniu, powoli spostrzegalem, że urok tego oblicza nie pochodził z jego powierzchni, z wyglądu, ale z niewidzialnego wnętrza, które udało się Rembrandtowi wyrazić. Jest to oblicze Chrystusa poważnego i skupionego w swoim sercu, w swoim sercu w relacji z Ojcem. Ale jednocześnie to oblicze wyraża uwagę skierowaną na kogoś innego, na kogoś obecnego idealistycznie po jego prawej stronie, w którego stronę Chrystus dyskretnie zwraca spojrzenie, a także prawe ucho nieprzykryte włosami i szczególnie oświetlone wiązką promieni świetlnych, oświetlających twarz z góry.

Rembrandt potrafił przedstawić w ten sposób w Chrystusie jedność i jednoczesność wewnętrznej uwagi wobec Ojca i uwagi wobec człowieka, wobec nas wszystkich. Uwaga wewnętrzna i promienna, która pokrywa się z pokorą Chrystusa, z pokorną miłością Chrystusa do Ojca i do ludzi. I jest to właśnie piękno Chrystusa, które nas uderza i pociąga i sprawia, że spotkanie z Nim odsłania nam jednocześnie Ojca i nas samych.

Czy to oblicze widzieli ukazujące się w ich życiu i w sercach wszyscy uczniowie, którzy widzieli Go zmartwychwstałego? Czy to oblicze zobaczyła święta Maria Magdalena, kiedy Zmartwychwstały zawołał ją po imieniu? Czy to oblicze oglądali, nie rozpoznając go uczniowie z Emaus w drodze i rozpoznali na wieczną chwilę w łamaniu chleba? Czy patrzącego na to oblicze Piotra Jezus trzykrotnie zapytał „Czy mnie miłujesz?”

Przedkładanie Chrystusa ponad wszystko, które nas odnawia

To niespodziewane i niezwykle „spotkanie” z tajemnicą Chrystusa w muzeum w Filadelfii zdarzyło się pod koniec długiej, dwumiesięcznej podróży poświęconej odwiedzinom w licznych klasztorach naszego zakonu w Brazylii, Chile, Boliwii i w Stanach Zjednoczonych. Po raz kolejny zebrałem – jak w ubiegłym roku w Wietnamie, a w styczniu w Etiopii - wiele pięknych doświadczeń i bogatych braterskich spotkań; miałem głębszą świadomość problemów i trudności wspólnot i naturalnie odczuwałem także niejaki zmęczenie. Obraz Rembrandta przypominał mi, że sens i cel, pocieszenie i jedność tych wszystkich doświadczeń nie były w moich rękach, w mojej sile, w moim osądzie, ani w rękach, sile, osądzie innych, ale w tajemnicy oblicza człowieka, który osobiście przybył patrzeć na nas z głębi serca; człowieka którego miłość pochodzi od Ojca i prowadzi wszystko do Niego. I to było dla mnie wyzwoleniem, także pośród trosk, sprzeczności, niezgody, doświadczenia moich własnych ograniczeń i ograniczeń innych.

Tym, co mnie odnawiało w tym doświadczeniu było odnawianie się w moim sercu przedkładania Chrystusa, przedkładania które jest zwykle początkowym doświadczeniem naszego powołania, każdego powołania. Przedkładanie Chrystusa będące obopólnym, kiedy nasze serce zgadza się kochać ponad wszystko Tego, który pierwszy nas pokochał, który pierwszy przedkłada nas nad

wszystko, niczego nie oczekując w zamian. Wyraża się zgodę na swoje powołanie, kiedy zezwala się na bycie przedkładanym przez Tego, który nas przedkłada. Akceptuje się porzucenie wszystkiego dla Tego, który dla nas porzucił „swoją boską stan”, aby stać się człowiekiem, umrzeć za nas i zmartwychwstać (por. Flp 2,6-11). Sprzedaje się wszystko, aby nabyć perłę, którą daje się nam wraz z jej nieoszacowaną wartością (por. Mt 13, 45-46).

To obopólne przedkładanie, które pomiędzy osobami jest wymianą miłości, pozostaje sednem każdego powołania. Ale często droga powołania powoduje jakby zużycie przedkładania. Po decydującym spotkaniu życie toczy nadal swój bieg - wraz z potrzebami, ciężarami, zbyt wielkimi ciężarami, wzlotami i upadkami, próbami, nadziejami i rozczarowaniami. Tak zdecydowane i jasne na początku przedkładanie staje się mniej wyraźne, mniej determinujące, traci zapał. Ale my doświadczamy, że to czyni nas bardziej kruchymi, mniej zdolnymi do stawiania życia czoła z ufnością, z radością i potrzebną siłą. Często, mimo że jest naszym udziałem takie doświadczenie, nie pojmujemy, że tym co powinniśmy na nowo odnaleźć, nie jest przede wszystkim siła i radość, ale właśnie przedkładanie Chrystusa, to obopólne przedkładanie, które pewnego dnia tak mocno nas ożywiało, abyśmy podążyli za swoim powołaniem.

Istotny dar Ducha

Lektura księgi Dziejów Apostolskich podczas okresu wielkanocnego uświadomiła mi pewien efekt zesłania Ducha Świętego, o którym nigdy wcześniej nie pomyślałem. Kiedy apostołowie i inni uczniowie wyszli z wieczernika, zaraz objawiły się nadzwyczajne dary: dar języków, dar uzdrawiania, dar kaznodziejstwa, które pociągało i nawracało tłumy. Wszystko to zapewne wywarło wrażenie na wszystkich, a w pierwszym rzędzie na samych uczniach. Ale fakt, że te dary nie były dominujące w dalszym życiu Kościoła, pozwala nam zrozumieć, że nie tkwi w nich najważniejszy efekt zesłania Ducha Świętego. Inny dar, głębszy i stały został przekazany przez Ducha Świętego uczniom Pana i to ten dar charakteryzował prawdziwą żywotność Kościoła wszystkich czasów: to właśnie dar przedkładania Chrystusa, charyzmat nieprzedkładania niczego nad Chrystusa.

To przedkładanie Chrystusa jest najprawdziwszym i najważniejszym darem Ducha, darem którego najbardziej potrzebujemy, darem który pozwala nam przyjmować prawdziwie i owocnie wszystkie inne dary. Wszystkie inne dary Ducha jeśli nie są przyjmowane, aby przedkładać Chrystusa, będą jakby wypaczone w swojej naturze i w swoim celu i zamiast służyć budowaniu Królestwa, niszczą je.

Ponieważ Królestwo Boże jest przedkładaniem Chrystusa.

I rzeczywiście widzimy apostołów - którzy odczuwali strach, którzy wyparli się Jezusa, którzy woleli siebie niż Jego - jak stają się dzięki zesłaniu Ducha Świętego ludźmi, którzy są szczęśliwi, cierpiąc dla imienia Jezusa (Dz 5, 41-42); ludźmi,

którzy nie obawiają się niczego i nikogo, ani więzienia, ani cięgów, którzy są posłuszni Bogu a nie ludziom, którzy nie przyjmują żadnej zapłaty lub korzyści za swoją misję. Dla nich przedkładanie Jezusa jest wszystkim. Miłość Chrystusa jest dla nich więcej warta niż życie.

Pomyślmy o Szymonie Piotrze. Jakie było największe pragnienie, które miał w sercu, kiedy oczekiwał zesłania Ducha Świętego wraz z Dziewicą Maryją, apostołami i innymi uczniami? O co miał prosić Ducha Świętego, gdy go oczekiwał w jerozolimskim wieczerniku? Jakiej łaski pragnął bardziej niż wszystkie inne? Instynktownie myślimy, że oczekiwał siły, aby nie być słabym, odwagi aby nie być nadal ofiarą swojego strachu; mądrości i elokwencji, aby głosić Chrystusa tłumom ... Ale zapominamy, że Piotr zaledwie chwilę wcześniej usłyszał Jezusa pytającego go trzy razy „Czy miłujesz Mnie?” i jakby to nie wystarczało - „Czy miłujesz Mnie więcej aniżeli ci?” (J 21, 15-17). Jezus pozostawił go, wyrażając w stosunku do niego swoją potrzebę miłości, potrzebę przedkładania. A Piotr odpowiedział „tak” trzy razy na to proste i pokorne pytanie Syna Bożego. Ale Piotr wiedział, że nie mógł już liczyć na samego siebie. Wiedział, że nie mógł już ręczyć za to, że się nie wyrzeknie.

Jestem pewien, że wkroczył w oczekiwanie obiecanego przez Jezusa Ducha z jedynym pragnieniem, aby móc odpowiedzieć całym sercem i całym swoim życiem na pragnienie Jezusa – na pragnienie bycia przedkładanym w miłości. Piotr wybłagał u Ducha dar przedkładania Jezusa i to sam Jezus zasugerował mu był tę zasadniczą intencję modlitwy, tę która najlepiej odpowiada temu, co Duch chce nam podarować, stając się nam darem.

Jeśli nie prosimy o ten istotny dar Parakleta i go nie przyjmujemy, to tak jakbyśmy odrzucali wszystkie inne dary i łaski, które Duch chce nam przekazać. Żaden charyzmat, żadne powołanie, żadna misja, żadne posłannictwo, żaden sakrament nie znajduje sensu i owoców, jeśli brakuje w nas otwarcia na zasadniczą łaskę, że możemy kochać Chrystusa bardziej niż wszystko.

Ale jest to łaska, dar Ducha, a to znaczy, że możemy zawsze wracać do przedkładania Chrystusa, chociaż wyrzekamy się tego tak często, osobiście i wspólnotowo, możemy zawsze przyjąć je na nowo, stale prosić o nie Ducha, pewni otrzymania go.

Problemem jest to, że zbyt często o nie nie prosimy i nie oczekujemy tej istotnej łaski Ducha Świętego. Prosimy Go o wiele rzeczy, których nam brakuje, których brakuje naszym wspólnotom, ale zapominamy poprosić Go o to, czego nie brakuje tylko nam, ale także Jezusowi - miłości, którą daje Mu nasze przedkładanie. Tymczasem jest to jedyna łaska, którą Duch, będący Ogniem, płonie w pragnieniu dania nam.

Jeśli nie rozpoczniemy od nowa- w każdej okoliczności i wobec wszystkich problemów – od błagania Ducha Świętego, aby dał nam nie przedkładać niczego nad Chrystusa (RB 4,21; 72,11), nie mieć niczego droższego niż Chrystus (RB 5,2),

żadna nowa rzecz, żadna odnowa nie będzie nigdy możliwa. Będziemy nadal krążyć na próżno, stawiając czoła ciągle tym samym problemom i rozwiązując je, bez pojawienia się nigdy czegoś nowego, czegoś nowego płynącego z góry.

Wystarczy jednak jedna osoba, jedno serce, które z pokorą błaga prawdziwie Ducha o istotną łaskę przedkładania Jezusa nad wszystko, aby nastąpiła odnowa, nieprzeparta – jak kiedy Piotr wyszedł z wieczernika ze spełnionym pragnieniem, aby odpowiedzieć na pragnienie miłości Chrystusa. Sam jego cień zaczął czynić cuda (Dz 5, 15-16), gdyż jego serce przyjmowało płonące słońce przedkładania Jezusa. Tak bardzo, że proponuje to samo doświadczenie wszystkim wiernym, wezwanym do stawienia czoła wrogości i prześladowaniu: „Pana zaś Chrystusa miejcie w sercach za Świętego i bądźcie zawsze gotowi do obrony wobec każdego, kto domaga się od was uzasadnienia tej nadziei, która w was jest” (1 Pt 3,15).

Wspólnota w predylekcji

Kiedy św. Paweł skierował się bez wahania w stronę Jerozolimy, wszyscy zaczęli go odwozić od tego zamiaru i przed nim ostrzegać, gdyż wiadomo było, że w Jerozolimie będzie prześladowany. Sam Duch Święty sprawiał, że był uprzedzany o tym, co wkrótce miało się z nim stać (por. Dz 21, 4.10-11). Ale przez słuszny strach Paweł nie pozwolił się odwieść z tej drogi swoim towarzyszom. «Kiedyśmy to usłyszeli, razem z miejscowymi braćmi zaklinaliśmy Pawła, aby nie szedł do Jerozolimy. Wtedy Paweł odpowiedział: "Co robicie? Dlaczego płaczecie i rozdieracie mi serce? Ja przecież gotów jestem nie tylko na więzienie, ale i na śmierć w Jerozolimie dla imienia Pana Jezusa". Nie mogąc go przekonać, ustąpiliśmy ze słowami: "Niech się dzieje wola Pańska!" (Dz 21,12-14).

To zdarzenie rzuca światło na sposób, w jaki powinniśmy zawsze prosić o światło Ducha i przyjmować je. Św. Paweł zrozumiał, że jeśli Duch Święty pozwalał mu poznać swój los, to nie po to, aby tego losu uniknąć, ale aby wyjść mu naprzeciw, zgadzając się na niego z miłości do Chrystusa. Tym, co kierowało drogą Pawła nie była nieostrożność albo pyszałkowatość, ale pragnienie nieprzedkładania niczego nad Chrystusa – nawet swojej wolności i swojego życia. Duch Święty nie oświeca nas, aby służyć naszej wygodzie i swobodzie, lecz żeby pomóc nam dokonywać w sposób wolny i świadomy wyborów, które nam pozwolą coraz bardziej przedkładać Chrystusa nad nas samych, ponieważ właśnie to – jak mówi święty Benedykt pod koniec swojej Reguły – jest tym, co nas otwiera na łaskę życia w pełni: „Niech nic nigdy nie będzie dla nich ważniejsze od Chrystusa, który oby nas razem raczył doprowadzić do życia wiecznego” (72, 11-12).

Towarzysze Pawła przyjmują jego świadectwo i zamiast przeciwstawiać się jego podróży, udają się wraz z nim, na pewno przyciągnięci siłą jego predylekcji dla Chrystusa. Jak Maryja w chwili zwiastowania, są pociągnięci przez predylekcję Pawła, aby również ze swojej strony wyrazić zgodę na wolę Boga: „Niech się stanie wola Pana!”.

Jakże piękne jest braterskie zgromadzenie, w którym to, co przedkłada tylko jeden z nich, pociąga wszystkich do miłowania Boga bardziej niż siebie samych! Czy to przedkładanie nie powinno być stałą siłą, która jednoczy i godzi nasze wspólnoty we wszystkich wyborach, które musimy podejmować, aby podążać naprzód naszą drogą?

Kochać nie oczekując niczego w zamian

Piotr, Paweł przyjmując od Ducha dar przedkładania Chrystusa, przyjmują także wolność kochania Go nie oczekując niczego w zamian - tak, jak On nas kochał w darmowości swojej boskiej wolności.

Ale co to znaczy kochać nie oczekując niczego w zamian?

W dziesiątym rozdziale Ewangelii wg św. Jana, Jezus opisuje swoją wolność paschalną: „Dlatego miłuje Mnie Ojciec, bo Ja życie moje oddaję, aby je [potem] znów odzyskać. Nikt Mi go nie zabiera, lecz Ja od siebie je oddaję. Mam moc je oddać i mam moc je znów odzyskać. Taki nakaz otrzymałem od mojego Ojca" (J 10, 17-18).

Jezus żyje swoją wolnością w nieskończonej przestrzeni posłuszeństwa Ojcu. Nakazy Ojca nie umniejszają wolności Syna, gdyż Ojciec chce wolności i ją Synowi nakazuje – to wolność dania i odebrania jego życia. Moc odebrania oznacza, że moc dania jest rzeczywiście wolna, całkowicie wolna. Chrystus daje to, co może odebrać. Ale w rzeczywistości Jezus nie odbiera swojego życia: woli otrzymać je od Ojca, od Ojca, który pozostawia Mu wolność odebrania życia. Syn mógłby być odebrać swoje życie w każdej chwili męki, od Getsemani do ostatniego tchnienia. Jezus powierzył tę wolność w ręce Ojca, w akcie ufnego posłuszeństwa, który pozostawiał Ojcu całkowitą wolność oddania Synowi jego życia, kiedy i jak chciał.

Jest to posłuszeństwo, które profesja monastyczna chciałaby powtórzyć, a my zbyt często zapominamy o głębokim dynamizmie trynitarskim naszego powołania monastycznego, naszych ślubów. Św. Benedykt był tego bardzo świadomy i wyraźnie można odnaleźć w jego Regule zachętę do przeżywania wszystkich naszych zobowiązań monastycznych w postępowaniu za wolnością Chrystusa, który oddaje swoje życie, rezygnując z władzy odebrania go, aby otrzymać je z rąk Ojca, w stukrotności daru i radości wielkanocnych. Poczynając od profesji, uczynionej w sposób całkowicie wolny po dojrzałym namyśle, mnich nie będzie już mógł porzucić klasztoru i wymogów Reguły (RB 58, 15-16); nie ma oczekiwać chwały lub bogactwa pochodzących z talentu i pracy (RB 57), ze statusu społecznego (2,16-22) czy również ze statusu kapłańskiego (62, 2-4). Św. Benedykt reasumuje tę postawę, kiedy mówi o ubóstwie: „Jeśli wspólnota jest większa, szafarz będzie zwolniony od posługi w kuchni; również ci, którzy, jak powiedzieliśmy, mają ważniejsze zajęcia” (33,5).

Ileż razy zmieniamy naturę naszego zaangażowania monastycznego, domagając się powrotu i realizując powrót naszej miłości, którą wybieramy my sami. Nie mamy nadziei i nie czekamy na dar pochodzący od Ojca.

Jednakże ta nadzieja i to oczekiwanie są kulminacją zapowiedzi zmartwychwstania, a zatem wypełnieniem naszego prawdziwego życia w Chrystusie. Kiedy Jezus mówi do Marii Magdaleny: "Nie zatrzymuj Mnie, jeszcze bowiem nie wstąpiłem do Ojca. Natomiast udaj się do moich braci i powiedz im: "Wstępuję do Ojca mego i Ojca waszego oraz do Boga mego i Boga waszego" (J 20,17).

Jezus nie chce, aby nasza miłość do Niego pogrążyła się w nas samych, aby wracała do nas na miarę długości naszych ramion, naszej zdolności brania przy pomocy rąk, naszej uczuciowości, naszych ambicji. Zostaliśmy stworzeni i odkupieni dla kochania o wiele więcej: jesteśmy zdolni do obdarzania miłością, która pochodzi z serca Ojca, z miłości pomiędzy Ojcem i Synem – z Ducha Świętego. To odbicie miłości Trójcy, miłości zbyt wielkiej, abyśmy sami ją przyjęli: „ idź do moich braci i powiedz im ... wasz Ojciec ... wasz Bóg”. Ten dar Ojca dla wszystkich jest owocem darmości Trójcy. Ponieważ Chrystus i Ojciec *nie powstrzymują się* – i to dzieje się aż po ofiarę krzyża - są nam dani, mogą być w pełni w naszym posiadaniu poza wszelkim odwzajemnieniem lub korzyścią, których możemy pragnąć i sami zebrać – jak Adam i Ewa zebrali zakazany owoc.

Wolność i posłuszeństwo

„Poszła Maria Magdalena oznajmiając uczniom: "Widziałam Pana i to mi powiedział" (J 20,18). Jeśli Maria Magdalena od razu akceptuje tę wolność - wobec swojej zaborczej tendencji do pochycenia i zatrzymania obiektu swojej miłości, jeśli natychmiast wyrusza, bez komentarzy, aby wypełnić misję ogłoszenia zmartwychwstania i obecności Jezusa po prawicy Ojca, ponieważ w Nim, On jest naszym Ojcem i naszym Bogiem – to właśnie dlatego, iż zobaczyła Pana i usłyszała Go: „Widziałam Pana i oto, co mi powiedział.”

Nasza wolność może stać się prawdziwie czynna i stać się misją tylko w takim stopniu, w jakim osoba i słowo Zmartwychwstałego staną się skarbem naszego serca, którego nie musimy zatrzymywać, ponieważ jesteśmy pewni, że jest nam zawsze dane przez Ojca. To w tym tkwi sekret wolnego i owocnego posłuszeństwa. Wiadomość przyniesiona przez Marię Magdalenę, jej misja wśród uczniów to akt posłuszeństwa żyjącemu Chrystusowi. Ona go kontemplowała, słuchała, ona może ogłosić Jego zmartwychwstanie z powagą i w posłuszeństwie. Nasze posłuszeństwo jest owocnym wyniesieniem wolności, jeśli nasze serce nią żyje, zawsze sprowadzając wolność do jej prawdziwego źródła: przedkładania Chrystusa żyjącego i obecnego, którego z miłością kontemplujemy i słuchamy.

Św. Benedykt wyraża to na początku rozdziału o posłuszeństwie: „Najprzedniejszym stopniem pokory jest bezwzględne posłuszeństwo. Osiągnęli go ci, dla których nie ma nic droższego od Chrystusa” (RB 5, 1-2). Wyraża w dwóch zdaniach tajemnicę i naturę nowej wolności chrześcijanina, wolności, która wypływa z preferencyjnej miłości do Chrystusa. Jesteśmy wolni, jeśli naszym skarbem, naszą perłą jest Chrystus. Jesteśmy wolni jedynie, jeśli prosimy o Ducha i przyjmujemy Go, Ducha który pozwala nam kochać Chrystusa ponad wszelką rzecz.

Obecność Pana, który do nas przemawia jest naszym wyzwoleniem, integralnym wyzwoleniem naszej osoby – tej, która czyni nas dziećmi Bożymi. Często prosimy Chrystusa o częściowe wyzwolenie, wyzwolenie tylko od tego, co nam przeszkadza, co jest dla nas przykre lub powoduje cierpienie – a zatem o wyzwolenie, które inne osoby lub inne środki mogłyby dla nas uzyskać. My chcielibyśmy praktykowania wolności, która w gruncie rzeczy nie powodowałaby niczego innego, jak tylko pogrążania naszego życia w nas samych, zamiast pozwolić nam zostać pochwyconymi przez Chrystusa i pozwolić, by nam towarzyszył w drodze ku swemu Ojcu, ku naszemu Ojcu. Chrystus chce nas wyzwolić całkowicie, chce nas uczynić całkowicie, dogłębnie wolnymi, bardziej w naszym jestestwie niż w chwilowym stanie. Wolność, którą obdarza nas Chrystus paschalny jest wolnością serca, która pozwala nam żyć w wolności także pośród przymusu. Tak, jak Paweł i Syłas, którzy obici różgami i zamknięci w więzieniu, śpiewają hymny Bogu (Dz 16, 22-25).

Wolnością, której darem obdarza nas Duch jest wolność kochania Chrystusa aż po Ojca i nieposiadania innego oddźwięku dla naszej miłości, jak tylko miłości Ojca, który nas kocha w swoim Synu poprzez Ducha.

Im bardziej poznaję nasz Zakon, nasze wspólnoty i wszystkich mnichów i mniszki, którzy je tworzą, tym bardziej ich kocham i pragnę kochać i już nie proszę Ducha dla nas wszystkich o nic innego, jak tylko o dar przedkładania Jezusa. Chcemy pozostać zjednoczeni w tej modlitwie?



Br. Mauro-Giuseppe Lepori
Opata Generalny Ocist

Rzym, Święto Pięćdziesiątnicy 2012